

# Nie dalej do Ewangelii jest z Marszu Niepodległości niż z Woodstocku

*Paweł Milcarek*

Cztery lata temu napisałem nie bez smutku – że 11 listopada w Marszu Niepodległości są na ulicach Warszawy „tłupy ludzi, którzy nie są dalej od możliwości ewangelizacji niż młodzież na Woodstocku (ośmielę się rzec, że na moje oko są bliżej)”. Tłupy te – ludzi z całej Polski – potrzebują duszpasterstwa, które z jednej strony „nie zaczęłoby się od wynajdywania w nim kąkolu «naziolstwa», a z drugiej strony – nie zatrzymałoby się na podbijaniu bębena patriotycznego”. Chodzi o duszpasterstwo, które świetnie się czuje w klimacie morza biało-czerwonych flag, nie boi się rac – a przecież nie upija się samo klimatem narodowego wzmożenia; potrafi ten moment wykorzystać, żeby robić tłumom dyktando z Ewangelii.

I cztery lata temu, na tle gorącej dyskusji o Marszu Niepodległości, dodawałem, że takiego duszpasterstwa nie widzę – natomiast zamiast niego mnożą się przypadki „duszpasterzy dwóch różnych opcji”: takich, którzy się za Marsz wstydzą, i takich, którzy są nim zachwyceni.

No więc mamy rok 2019, znowu dyskusja o Marszu Niepodległości – tym razem zajęła się nie odróżnianiem słów „nacjonalizm” i „patriotyzm”, lecz ustalaniem, jak należy trzymać różaniec. Nie narzekam, zawsze można się przy takich okazjach czegoś dowiedzieć – z historii idei, z ikonografii. Niemniej to nadal nie jest katolickie duszpasterstwo tłumów pachnących racami i dumą z Polski. Co więcej, odwagi duszpasterskiej jest jeszcze mniej, co widać na przykładzie lękliwego odmówienia Mszy w jednym z kościołów warszawskich, niewątpliwie zdecydowanego na poziomie diecezji.

Przykład Mszy jest dobry, żeby zrozumieć, na czym polega problem. Po pierwsze: na trzymaniu się założenia, że odprawienie

Mszy ma jedynie „uświetnić” i kościelnie „legalizować” Marsz – i nie wiem, czy to założenie nie jest podzielane przez wszystkich zainteresowanych. Po drugie: być może na tym, że zwyczajnie nie ma w naszej diecezji lub w ogóle w Polsce kapłana, który byłby gotów mówić, jako homileta, do tłumów zebranych na Mszy tak, jak się mówi do wiernych przychodzących po naukę, nie inaczej: dzieląc wiarę, a dając naukę. Bo na „takich” Mszach mówi się niestety zwykle inaczej: panegirycznie lub oschle. Panegirycznie – gdy korzysta się z Mszy, żeby pochwalić zasługi tego czy innego polityka albo snuć ogólne laudacje nieujarzmionej polskości, albo podbijać bębenek tym, co stoją w kościele. Albo mówi się oschle – gdy manifestuje się dystans do sprawy świętej dla zgromadzonych, a siebie samego traktuje jako usługodawcę obrządkowego. Oczywiście oba te sposoby mówienia byłyby nie na miejscu – więc w sumie może lepiej rzeczywiście nie dopuszczać do tej kompromitacji. Tyle że to akurat nie jest kompromitacja tłumów z Marszu.

Ale są też w Marszu zwykli księża, z różnych miejsc. Wierzę, że idąc tam, traktują samych siebie jako równocześnie część tego patriotycznego ciała i działających wewnątrz niego nauczycieli wiary – wymagających zwłaszcza wobec tych, z którymi idą i czują.

To jest wasz, że tak powiem, „przystanek Jezus”, z zupełnie innymi wyzwaniem niż ten woodstockowy – a jednak pełen wyzwań. A jedno z tych wyzwań zostało dobrze wyodrębnione już w samym przesłaniu Marszu: „Weź w opiekę naród cały”. „Naród cały” – dlaczego i co to znaczy? Cały, a tak podzielony. Cały, a więc nie tylko „nas tutaj” i w ogóle nie tylko z marszowej pieśni. Cały, a więc i tych najmniejszych, których nadal w Polsce można „usuwać” jako „ciężę”. Naród cały – a więc nie tylko tych, którzy już się w swym życiu usadowili, ale i tych, którzy samodzielne życie zaczynają. Naród cały – a więc nie tylko jego przeszłość i teraźniejszość, lecz i jego nadzieje. Sporo wyzwań. ■